

— Daj mi spokój... — po tych, zwykle ostatnimi siłami wyrwanych z gardła słowach, lekko rozkołysanych w powietrzu, najczęściej następuje cios.

Moje wątłe ciało jeszcze głębiej zapada w fotel, a twarz Tadeusza, mojego syna, pełna skupienia obserwuje moje oczy, w których od dawna nie gościły łzy. Nazywam się Jerzy, Jerzy... Jerzy. Mam osiemdziesiąt siedem lat. Moi rodzice nie żyją. Nie potrafię sobie przypomnieć, z jakiego powodu zmarli i kiedy to się stało. Tadeusz to mój syn. Opiekuje się mną i jestem mu za to wdzięczny. Mieszkamy razem, odkąd zmarła moja żona. Jej imienia nigdy nie zapomnę, a nazywała się... Ciepło dzisiaj. Chciałbym wyjść na spacer, ale Tadeusz mówi, że nie zejdem z drugiego piętra po schodach. Chciałbym spróbować. Chwytam laskę, kiedy syn jest w kuchni, i próbuję przedostać się bezszelestnie przez przedpokój do drzwi.

— Dokąd idziesz? — słyszę za sobą głos.

— Na spacer, pospacerować chcę, taka ładna...

— W kapciach?! Wracaj do pokoju! — I czując pchnięcia na swoich plecach, drobnymi kroczkami wracam i zgodnie z poleceniem Tadeusza siadam na tapczanie.

Mam czekać na obiad, oglądając telewizję. To dopiero śmieszne urządzenie. Jest i obiad. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego Tadeusz je mięso, a ja jakieś papki. Muszę go kiedyś zapytać.

— Nie ciamkaj! — zwraca mi uwagę syn. — Nie ciamkaj, do cholery! — Odkłada z łoskotem łyżeczkę i podchodzi do mnie, wymierzając cios w moje ramię.

Chciałbym powiedzieć, że ono mnie boli, ale zanim zdążę otworzyć usta, Tadeusz potrząsając moim wychudzonym ciałem, każe mi chwycić łyżeczkę w inny sposób. Nie potrafię. Całe życie jadłem, trzymając sztucce tak...

— Przecież mówię, jak masz jeść, kurwa mać! — Zabiera mój talerz i wychodzi do łazienki, skąd po chwili dobiega szum spuszczonej wody.

— Jeszcze nie zjadłem... — szepczę.

— Co tam ojciec mamrocze pod nosem?

Nie odpowiadam. Gdzie to Tadeusz był przed chwilą? Ach, już pamiętam. Łazienka.

— Do łazienki... — mówię, wstając powoli.

— Dokąd?

„Łazienka...” — nie nadążam z odpowiedzią, bowiem potykając się o nierówno położony chodnik, padam jak długi w progu.

— Ja pierdołę! — Tadeusz doskakuje do mnie i wskutek pomyłki uderza mnie

w głowę, zamiast pomóc wstać. Mój pęcherz nie wytrzyma. — Znowu się złałeś! Jak dziecko! — Syn trzęsie mną, a ja próbuję powiedzieć coś na swoją obronę.

Pomału zapada wieczór. Jest dobrze. Siedzę z tym mężczyzną i oglądamy serial wojenny. Ponoć pamiętam tamte czasy.

— Chcę do Tryków — mówię do towarzyszącego mi mężczyzny.

— Do kogo?

— Chcę do Tryków.

— Trykowie nie żyją od siedmiu lat.

— Ale wczoraj Stanisław był u mnie.

— Jak mógł u ciebie być, skoro tłumaczę ci, że od siedmiu lat nie żyje.

— Nie żyje?

— Powtarzam ci, człowieku, że nie!

— Każdy kiedyś umrze...

Od rana wpatruję się w okno. Widzę spacerujących ludzi, przyspieszających kroku, biegnących dokądś. Młodzieńcy piją pod murkiem, zamiast wziąć się do pracy. Jakaś para przechodzi obok niepewnie; on obejmuje ją mocniej. Jesienne słońce niedające ciepła jest już wysoko. Przeszli niezaczepieni.

— Dlaczego nie dostałem śniadania? — pytam syna. — Jestem głodny...

— Jak to nie dostałeś? — oburza się. — Dopóki nie nauczysz się jeść, nie będziesz jadł!

Głód można owoić. Zupełnie jak w trzydziestym dziewiątym. Oglądam serial w telewizji. Bardzo interesujący, o...

— Będziemy mieli dzisiaj gości — oznajmia Tadeusz, przełączając program.

— Jan przyjdzie?

— Jaki znowu Jan, człowieku?!

— Karwak?

— Nie, nie Karwak. Ciotka Helena przyjdzie.

— Ciotka Helena... — kiwam głową.

Przed przyjściem jakiegoś gościa syn ubiera mnie w elegancką koszulę i materiałowe spodnie.

— Zupełnie jak te, które szyłem po wojnie — zwracam uwagę, gładząc się po udach.

— Przecież ty nigdy spodni nie szyłeś, człowieku! Górnikiem byłeś.

— Górnikiem?

— Owszem, górnikiem. O, narody świata. Czym zajmuje się górnik?

— Górnik?

— Górnik! Co to ja... niewyraźnie mówię? Po chińsku mówię? Czym zajmuje się górnik? Gdzie pracuje?

— Górnik to...

— No co?

— ...w kopalni pracuje.

— Bardzo dobrze. I co wydobywa pracujący w kopalni górnik?

Cisza. Przerywa ją dźwięk dzwonka roznoszący się po mieszkaniu.

— Jan przyszedł! — oznajmiam radośnie i już chcę się poderwać z tapczanu i przywitać starego kompana, kiedy silna ręka mężczyzny pcha mnie z powrotem.

— Żaden Jan. Siedź tutaj, do diabła! — Patrzę więc kątem oka, co to za postać zdejmuje palto w przedpokoju.

— Jan! Witaj! — krzyczę. — Chodź, chodź. Zapraszam. — Nikt mi jednak nie odpowiada.

Tadeusz wchodzi do pokoju z jakąś kobietą, która wita się ze mną i pyta o zdrowie.

— Słabo... — odpowiadam, ale Tadeusz, usadzając gościa, kwestionuje moje zdanie:

— Ciocia nie słucha. Tatuś to tak z przekory. Grzeczny jest, smacznie zjada wszystkie potrawy i całkiem nawet sprawny jest. Codziennie ćwiczymy.

Owszem, codziennie, ale dla mnie to męczarnia. Muszę turlać piłeczkę albo chodzić na czas przez wszystkie pokoje, kiedy akurat synowi się przypomni.

— Jan już wyszedł? — pytam znienacka zaskoczoną kobietę.

— Wyszedł! Wyszedł — odpowiada z za niej łaskawie Tadeusz. — Tatuś ma ostatnio objawy starości i myli mu się wszystko. Proszę nie zwracać na to uwagi — tłumaczy kobiecie, jakby mnie tam nie było. Nie jestem w stanie usłyszeć całej rozmowy. Po jakimś czasie kobieta wychodzi, żegnając się ze mną czule i życząc mi zdrowia.

— Mnie to już tylko śmierci — odpowiadam, za co syn mnie strofuje, po czym odprowadza kobietę do drzwi. Idę za nimi. Wolniej od nich.

— O, i tatuś ciocię odprowadza — śmieje się Tadeusz.

Po zamknięciu drzwi łapie mnie za rękę:

— Ile razy, do ciężkiej cholery, powtarzam ci, żebyś trzymał łaskę w prawej dłoni,

a nie w lewej!? No ile?!

— Ale kiedy mi wygodniej w lewej...

— Może wygodniej, ale nieporęcznie. Przekładaj ją do prawej.

— Nie, bo mi wygodniej...

— Przekładaj, mówię, i nie dyskutuj ze mną!

Nie mam siły mu się opierać. Prowadzi mnie kuksańcami na tapczan i sięgając po piwo, mówi:

— Teraz poćwiczmy pamięć.

— Daj mi spokój...

— Będzie ojciec za mną teraz powtarzał. Trzysta dwadzieścia cztery...

Nie chcę, ale syn nie daje mi spokoju, twierdząc, że to zapobiegnie zanikom pamięci.

— Nie mam zaników pamięci — oponuję.

— Powtarzaj za mną!

— Nie mam...

— Trzysta dwadzieścia cztery...

— Ja...

— Trzysta dwadzieścia cztery.

— Trzysta...

— ...dwadzieścia cztery.

— Trzysta dwadzieścia cztery...

Kiedy oglądam telewizję z moim synem, zawsze się stresuję. Boję się zadanych znieścacka pytań: „Co robią?”, „Kim są?”, „Dlaczego tak się stało?”, „Jaki to ma kolor?”, na które muszę od razu udzielić odpowiedzi. Dziś przy kolacji smarknąłem w chusteczkę nad talerzem, otrzymując w zamian surową reprimendę. Rozumiem frustrację Tadeusza. Rozwiódł się z żoną, która nie chce go znać; nie ma też dzieci ani pracy. A mimo to poświęca się dla mnie i zajmuje mną.

— Powietrze wdychaj nosem, a wydychaj ustami. Słyszysz, co do ciebie mówię? Ja zaraz stracę cierpliwość. — Cios. — Nie oddychaj tak płytko: yhy, yhy, yhy. Głęboko oddychaj! Wdech nosem... nosem wdychaj powietrze! Wydychaj ustami. Jeszcze raz! Nosem wdychaj... nosem!

Chciałbym już umrzeć. Czuję się jak zbędny mebel, który zawadza wszystkim. Gdybym miał nieco więcej siły, nieco więcej... powiesiłbym się na klamce w łazience. Ale wcześniej pójść wydoić krowy. Wieczór się zbliża, a matka jeszcze z pracy nie

wróciła. Wezmę laskę i pójdę na pole. Stanisław powinien już tam czekać. A potem pokopiemy piłkę. Matka Stanisława uszyła. Prawdziwa. Prawie taka, jaką mają prawdziwi sportowcy. Będę stał na bramce. Nikt nie broni tak doskonale jak ja. Chyba grzmi. Muszę zdążyć przed burzą. Wstaję.

— Dokąd znowu idziesz, człowieku?

— Krowy trzeba zagonić, bo burza idzie.

— Jakie krowy? Siądźże sobie, kurwa mać, i daj mi przez chwilę odpocząć.

— Ale krowy...

— Nie masz żadnych krów!

— Zdechły?

— Kiedyś zdechły, a teraz już ich nie masz!

— Nie mam krów?

— Nie masz, do diabła...

— Więc... co teraz będziemy jedli?

Tadeusz odbiera telefon:

— Marian Szlak przy telefonie, słucham?